

## PRZECIWIW NIEUKOM, CZYLI SAMOTNOŚĆ GENIUSZA

Nic się tak szybko nie starzeje jak rzeczy aktualnie modne. Rzeczy wybitne są poza modami. Wyprzedzają swoją epokę albo penetrują rejony, do których inni nigdy nie dotrą. Łatwo to udowodnić na przykładzie sztuki i literatury. Kto, oprócz specjalistów, pamięta dzisiaj o Marinettim, Tzarze, Malewiczu, Rodczence? Za to van Gogha, Witkiewicza, Eliota, Joyce'a znają, przynajmniej z nazwisk i wybranych tytułów, wszyscy, pewnie nawet ci z giertychowską maturą. Modni twórcy dawnej awangardy, mimo niekiedy wielkich zasług w odgrzebywaniu starych, ewentualnie wytyczaniu nowych szlaków, w większości pozostali na marginesie swoich czasów, ustępując miejsca ponadczasowemu geniuszowi indywidualistów. Dużo gorzej jest ze współczesną tak zwaną awangardą, wybitnie wtórną, za to uzbrojoną w potężne narzędzia medialne. Dominuje w niej wyodrębniony już w 1933 roku przez Jerzego Stempowskiego typ zapalczywy i prosperujący, który charakteryzuje się, według naszego wybitnego eseisty, umiarkowaną inteligencją, dużym zuchwalstwem, naturalnym ograniczeniem horyzontu, prostactwem i jałowością, które to cechy wykazują ciągły rozwój. Ten swojski typ cieszył się i cieszy nieustannie największym powodzeniem wśród podziwiającej go publiczności, rekrutującej się z tak zwanych elit. Na początku XXI wieku, pośród wszechobecnej pozorności, rozpanoszenie tych cech, ich nachalność i społeczna akceptacja sprawiają, że co prawda nadal najłatwiej jest zostać artystą awangardowym, ale szanse na wyłuskanie z tłumu i przejście do historii są nikłe jak ponowna wygrana w totolotka. Aby zaznaczyć obecność, pseudoawangardzie pozostaje jedynie zmasowany atak, obliczony na zniszczenie wszelkiej pojawiającej się istotności. W grupie siła, zatem rzesze nieudanych poetów, muzyków tudzież innych artystycznych miernot, łączą się pod wodzą niedouczonej, ubezwłasnowolnionej krytyki i wspólnym głosem walczą o bylejakość i bezsens. W tej sytuacji, opierająca się stadnemu instynktowi indywidualność jest w zasadzie bez szans na uznanie - pośród skrzeku tysięcy żab, ginie syk węża, i milkną skowronki. Niemniej jednak, gdzieś są, co wynika przecież nie tylko ze statystyki, ale także z praw boskich i zdrowego rozsądku.

Żyjemy w czasach zaniku artystycznej indywidualności. Wszyscy piszą, malują, fotografują, reżyserują a nawet niemyślą tak samo, onanizując się z zachwytem wytwórczością własną i podobnych sobie pospolitości. Doskonale to widać w internecie, szczególnie na stronach skupiających pretendentów do miana poety, pisarza czy fotografa (to „najłatwiejsze” dziedziny, w końcu każdy umie pisać litery i ma cyfrakę). Muzea, rozrzutnie zasilane pieniędzmi podatnika, z sadystyczną lubością prezentują odpadki, jak smętna wystawa fotografii *Miasto nie moje* czy pokaz deskorolek i obuwia sportowego w Muzeum Sztuki Współczesnej w Łodzi, albo obieranie ziemniaków w warszawskiej Zachęcie. Wstrząsającą i niezwykle popularną emanacją mierności są festiwale sztuk wszelakich, zwykle tej klasy co łódzki Fotofestiwal, które zalewają jarmarczną tandetą miasta i miasteczka, nie dając nadziei na lepsze dla sztuki czasy. Ciałem stały się słowa matolów i wielu krytyków, że życie jest sztuką. Życie, czyli między innymi smażenie jajek, golenie, bekanie, robienie kupy i inne, najzupełniej zwyczajne czynności. Oczywiście, ta idea nie jest nowa, podobny pomysł skutecznie wygrzebali i odświeżyli na początku XX wieku dadaiści, futuryści, surrealiści i Duchamp, tyle, że jako ludzie jakoś tam wykształceni, obyci, esteci i artyści *par excellence*, działali programowo, mieli świadomość kpiny, a swoje gesty ucziwie nazywali antysztuką. Ich żałośni, współcześni nam epigoni, pozbawieni wykształcenia i poczucia humoru, traktują swoje produkty z dumą, powagą i namaszczeniem kury, wieszczącej gdakaniem zniesienie jajka, co dla postronnych a myślących obserwatorów ma z jednej strony wymiar humorystyczny, ale też budzi wątpliwości co do przyszłości nie tylko sztuki, ale gatunku ludzkiego.

Do niedawna wyroby tej klasy, co np. fotografie Nan Goldin, malarstwo Romana Opalki, dramaty Dario Fo i zdaniotwórstwo Doroty Masłowskiej, jawiły mi się jako wtórne i desperackie akty bezpłodnych przeciętniaków, słabo wyedukowanych, pozbawionych smaku i umiejętności warsztatowych. Dokonania kolejnych pokoleń wytwórców pozwalają przypuszczać, że desperacja jest jak wszechświat - nie ma granic, i że można pogłębić dno, nawet jeśli już przypomina Rów Mariański. Być może niedługo nie tylko życie, ale i śmierć stanie się sztuką. Umieranie na raka jako gest artystyczny w Zachęcie, albo wyprucie tamże przez artystę własnych wnętrzności połączone z odczytaniem manifestu i obsikaniem parkietu przez jego kolegów, nie wydają mi się specjalnie awangardowym posunięciem. Może zrealizowany poklatkowo wideo art, pokazujący proces rozkładu zwłok w szklanej trumnie wystawionej w Łazienkach, jest jeszcze lekko niesmacznym pomysłem, ale jestem pewien, że tylko do czasu. W końcu rozkładający się trup to nic innego jak konstrukcja w procesie, nad którą pieją rzesze matołów, i przynajmniej jeden taki umrzyk powinien być w każdym szanującym się muzeum. Kiedyś nonszalancko wymyśliłem urnoplastykę, fekart i kopart, a obecnie są już poważnie traktowanym zjawiskiem artystycznym, więc zakładam, że życie wkrótce przekroczy moje wyobrażenia, a chętni do nekrogeściarstwa się znajdą - w końcu jest nas, ludzi, ponad sześć miliardów, a wśród nich Anda Rotenberg, awangarda muzealników, która z pewnością nie zawiedzie moich oczekiwań, i wystawi gdzieś, kiedyś, jakiś nekroart. A jak ona skrewi, to z pewnością znajdzie się inny kierownik, który za publiczne pieniądze pokaże, co jest prawdziwą sztuką.

Jak pisał Nietzsche, tłum śmierdzi. Dlatego geniusz tworzy samotnie. Nie poddaje się modom i stadnym instyktom. Nie szuka taniego poklasku, nie bawią go rozdziawione w zdumieniu gęby tłumu, tudzież gęby domorosłych krytyków, błyszczące od wazeliny i pożeranych na bankietach kanapek. Nie otacza się wianuszkiem niemrawych intelektualnie wielbicieli. Oczywiście, samotność w szeroko pojętym tworzeniu nie jest ani warunkiem koniecznym, ani jedynym, aby zostać artystą genialnym czy chociażby wybitnym, w jakimś jednak stopniu fakt jej obecności w życiu twórcy pozwala ze sporym prawdopodobieństwem stwierdzić, że chodzi mu bardziej o sztukę, niż o hecę, popularność czy pieniądze. Tłumom pseudoawangardowych wyrobników chodzi tylko o trzy ostatnie rzeczy - o sztuce nie mają pojęcia. Zresztą, jakże mogliby je mieć, skoro analiza ich wytwórczości dowodzi, że największy pęd do np. sztuki słowa, głównie poezji, mają dyslektycy i zwykłe nieuki, ewentualnie mierni absolwenci polonistyki, specjalizujący się w gramatyce. Do pieśniarstwa rozrywkowego i fotografii garną się wszyscy, bo to nie wymaga nawet umiejętności czytania i pisania. Krytyką, a w zasadzie krytykanctwem, zajmują się zaś ci, którzy już zupełnie nic nie potrafią. Czy w takiej sytuacji, której marność dostrzegają tylko nieliczni oświeceni, uda się jeszcze obronić artystę?